

## Żychlin we wspomnieniach Juliana Wieniawskiego - „Z mojego pamiętnika” (okres sprzed powstania styczniowego)

W najbliższym sąsiedztwie Konina leżał majątek Żychlin, własność Marszałka Rafała Bronikowskiego. Była to iście pańska, acz w skromnym tonie rezydencja, ognisko, w którym się najliczniejsze sfery towarzyskie chętnie zawsze i w ogromnej ilości gromadziły.

Dwór piętrowy, zbudowany na wzniesieniu, mieścił dwadzieścia przeszło wielkich dostatnich pokoi. Na dole mieszkali państwo marszałkowskie i tam też były salony do przyjęć, piętro prawie całe przeznaczone było dla gości i nigdy pustką nie stało, rodzina bowiem skoliigacona była z tak licznymi rodami w okolicy i Ks. Poznańskim, że zawsze ktoś z krewnych dłuższym był tam gościem.

Sam marszałek Bronikowski (noszący ten tytuł z czasu marszałkowania na jakimś sejmiku powiatowym) był postacią na wskroś typową, a tak serdeczną i sympatyczną, żeśmy go wszyscy kochali i wielbili, nawet za jego słabostki, od których żaden śmiertelnik nie jest wolny. Dla licznych koligacji zwany przez mnóstwo krewnych *strykiem*, przyjmował on to miano od tych nawet sąsiadów, którzy do najmniejszej z nim koligacji przypisać by się nie mogli. Serdeczny, wesoły, gościnnie, ujmujący swoim miłym, choć pańskim obejściem, wygolony zawsze starannie, z głową piękną, okoloną białym sutym włosom, uśmiechem szczerym na ustach i uprzedzającym dla każdego frazesem, marszałek przedstawiał typ dworaka z epoki stanisławowskiej, pełnego uprzejmości dla współobywateli, a dworskiej iście galanterii dla dam. Kochali go też wszyscy, a zwłaszcza niewiasty, którym sypał komplementy jak z rękawa i którym zawsze składał hołdy.

Małżonka jego była to dystygowana, pełna powagi i cnót niewieścich matrona (Złotnicka z domu), ujmującej dobroci, anielskiego serca i wielkiej na słabostki ludzkie wyrozumiałości. Nie obdarzywszy męża potomstwem<sup>1</sup>, którego nigdy nie mieli, patrzyła z prawdziwą filozofią na jego zalecanki do płci pięknej, na tę jedyną słabostkę starca, który się z nią nie bardzo taił, a przed mężczyznami chlubił nawet otwarcie. Natomiast umiała cenić wszystkie inne jego zalety: rządność, dbałość o jej jak największe dostatki, delikatność w obejściu, uprzejmość nieporównaną i ocenianie wszystkich jej zalet i przymiotów serca.

-Nie wart jestem takiej żony! - mawiał wobec najliczniejszych gości, całując z szacunkiem jej rękę...

-Co też... ty, Rafałku, mówisz... - odpierała łagodnie z uśmiechem, pragnąc to w żart obrócić i pragnąc ukryć jego przechwałki.

Ale z marszałkiem niełatwa była sprawa; jeżeli po wspaniałym niedzielnym obiedzie, wypił trochę za wiele, sumienie grzesznika brało górę i wołał dalej z rozrzewnieniem:

---

<sup>1</sup> Wieniawski rozminął się z prawdą, lub z niezrozumiałych powodów nie wspominał o dziecku Bronikowskich. Otóż Rafał i Helena ze Złotnickich mieli córkę Melanię, którą wydali za Wiktora Adama Kurnatowskiego 2 września 1829 r. To właśnie na tym połączonym słynnym weselu Melanii i Wiktora oraz wychowanicy dworu żychlińskiego Anieli z Kurnatowskich i Wojciecha Gałczyńskiego (przyszłych rodziców pięknej Zofii, która poślubi Juliusza Kossaka) bawił Fryderyk Chopin, podróżujący z Kalisza poprzez Konin do Warszawy. Melania zmarła młodo już w 1834 r. mając zaledwie 23 lata.

-Nie wart jestem, jak mi Bóg miły, już ja wiem co mówię i z większym jeszcze rozrzewnieniem całował rękę dobrej pani, ale ona zwykle pod pierwszym lepszym pozorem wychodziła na chwilę, żeby dalszym zwierzeniom kres położyć.

Marszałek nieraz chciał jej drogę zastąpić, ale mu to z trudnością przychodziło, kulał bowiem silnie na prawą nogę, a to z następującego powodu.

Dążąc na pamiętny zjazd monarchów w Kaliszu<sup>2</sup>, cesarz Aleksander I zatrzymał się w Koninie u referendarza Bronikowskiego, ówczesnego komisarza obwodowego, a rodzzonego brata marszałka. Na przyjęcie monarchy, jednoczącego w sobie najpiękniejsze dla kraju nadzieje, zjechała się szlachta z całego prawie województwa, a młodzież na dzielnych wierzchowcach towarzyszyła monarsze do Kalisza (mil 8), tworząc obywatelską eskortę. Młody Rafał Bronikowski, jako brat komisarza obwodowego, jechał tuż obok karety cesarskiej. W drodze cesarz zagadał coś do niego, a młodzieniec, przysunawszy się z koniem za blisko do powozu, zawadził dwoma palcami prawej nogi o szprychy pędzącego wehikułu, który mu je na miazgę skruszył. Ukrywając ból, jak na dobrego dworaka przystało, wsunął tylko nogę głębiej w strzemię i dojechał przy cesarskich drzwiczkach do samego Kalisza, tam dopiero, kiedy przyszło zdejmować obuwie, natura za ten gwałt się zemściła, zemdlął i musiał kilka tygodni przeleżeć. Cesarz, dowiedziawszy się o tym, kazał mu współczucie swoje wyrazić i na pamiątkę przysłał mu jakieś odznaczenie, ale ślad tej rycerskiej przygody pozostał mu w postaci lekkiej kulawizny na zawsze, gdyż bez oparcia na lasce i na ramieniu drugiej osoby trudno mu było przejść przez pokój.

Aczkolwiek dobra żychlińskie z lekkiej przeważnie składały się ziemi, gospodarstwo jednak, racjonalnie prowadzone, na gorzelni i pięknej owczarni oparte, prowadzone oszczędnie,

---

<sup>2</sup> Wieniawski przywołuje wydarzenia z 17 lutego 1813 r. - przybył wtedy do Kalisza car Aleksander I „z wojskiem, feldmarszałkami, generałami, posłami różnych państw i dyplomatami. Następnie przyjechał król Fryderyk Wilhelm III. Kaliski zjazd monarchów, prowadzone wówczas rozmowy oraz zawarte porozumienia i traktaty między Rosją a Prusami stały się decydujące dla dalszych losów kampanii przeciw Napoleonowi oraz przyszłego porządku w Europie. Car przebywał w Kaliszu sześć tygodni i mieszkał w budynku prefektury...bawił tu powtórnie jesienią 1815 r., a trzy lata później zaszczyliła Kalisz swą obecnością jego matka - cesarzowa Maria.”

Dodajmy jeszcze, że w 1835 r. w Kaliszu odbył się jeszcze jeden **zjazd monarchów**. Z nieistniejącego już domu "Między Nogi", kaliski malarz Szwarz „oglądał przebieg niezwykłego wydarzenia, jakim był zjazd monarchów. Łaskawie panujący car - imperator Mikołaj I - razem z wielkimi książętami Konstantym i Michałem oraz księżniczką Olgą gościł tu króla Prus Fryderyka Wilhelma III wraz z następcą tronu i książętami: Karolem, Augustem, Fryderykiem, Wilhelmem i Albertem (późniejszym mężem angielskiej Wiktorii). Gościom towarzyszyli też arcyksiężęta austriaccy Karol i Jan oraz gromada różnej rangi książąt niemieckich. Zjazd miał na celu wyraźne względy polityczne; miał manifestować trwałą sojusz między obu potęgami, a także stanowić widomy znak siły dla wszystkich przeciwników istniejącego porządku w Europie. Był też okazją oczywiście do balów, rautów, parad i rewii sprzymierzonych wojsk. Chcąc zadziwić swych niemieckich przyjaciół i sojuszników, wymyślili Rosjanie swoisty koncert-gigant. Oto na placu św. Józefa, w otoczeniu wojsk różnych formacji, ustawiono orkiestrę liczącą łącznie 2193 osoby. Ta olbrzymia orkiestra wojskowa, kiedy na wieży kolegiackiej zegar wybił siódmą godzinę wieczorem, na znak dany przez dwumetrowego tambor-majora z Preobrażeńskiego Pułku Gwardii, zagrała na cześć gości capstrzyk wieczorny, czyli wieczorne zorze. Najdostojniejsi goście słuchali tego koncertu na balkonie wychodzącym na plac. Koncert ten wraz z przysłuchującym się mu tłumem wojskowych i ludności cywilnej uwiecznił na płótnie wspomniany pan Szwarz, a obraz zdobi do dziś zbiory kaliskiego muzeum.

z odpowiednim rachunkiem, bez skąpstwa, ale i bez rozrzutności, dawało rezultaty bardzo dobre. Marszałek, acz tylko z wózka rządził, wiedział jednak o każdym szczególe, i nic bacznej jego uwagi nie uszło. Budowle wznosił murowane, dostatnie, inwentarze robocze bardzo piękne, choć nie zbyt kosztowne, chował tylko koniki, do których miał pasję i które mu się wcale dobrze darzyły.

Byłem jego ulubieńcem za muzykę, którą on uwielbiał, choć sam nigdy nie grał. Raz w napadzie czułości darował mi 4-letniego kasztanka, pod warunkiem, abym go sam sobie objeździł. Przyjąłem prezent z wdzięcznością, bo konik był ładny i smagły, ale dosiadłszy go w domu raz i drugi, przekonałem się, że to strachliwy wariat, z którym będę miał więcej trudu niż pożytku, a że miałem swoich własnych koni dwa wierzchowce, konieczne mi do objazdu rozrzuconych 5 dużych folwarków, więc dałem za wygraną i *Marszałka* (takem zwał kasztanka) puściłem na pastwisko. Kiedy w parę miesięcy potem odwiedził mnie stryjek i zapytał o kasztanka, przyznałem mu się, że na nim więcej nie jeżdżę.

- Dlaczego? - zapytał.

- Bo wariat.

- A znasz przysłowie o darowanym koniu?

- Znam, znam, w zęby mu się nie patrzy.

- Jest inne - dodał z uśmiechem - z darowanego konia nie żal zębów wybić.

Przyznaję, że po raz pierwszy słyszał o takim przysłowiu i z pewnością do mądrości narodów bym go nie zaliczył. Później objeździłem kasztanka w bryczce, a mając w mojej stadninie podobną dość kobyłkę, sprzągłem parę lekkich, szparkich koników.

Na wprost dworu żychlińskiego, na końcu wspaniałej lipowej alei, wznosił się piękny kościółek kalwiński, wśród cmentarza tegoż wyznania. Przodkowie marszałka Bronikowskiego ufundowali po Reformacji ten kościół, najstarszy bowiem z tej rodziny był prezesem zboru kalwińskiego. Wiele bardzo najstarszych rodów szlacheckich przyjęło wiarę kalwińską, a liczba rodzin, skoliigaconych z sobą i wyznających ten obrządek, była w samym Kaliskiem dość znaczna. Więc zaraz w Konińskim mieszkali: Bronikowscy, Potworowscy, Karczewscy, Kurnatowscy, dalej trochę Mieszkowscy, Trepkowie, Unrugowie, Twardowscy i wiele innych najstarszych rodzin polskich, których potomków nie znałem. Wszyscyśmy ich kochali i szanowali, nikt bowiem potomkom nie mógł mieć za złe, że się okazywali wiernymi wyznaniu swych przodków, jaśniejac przytem naj-piękniejszymi dobrych obywateli cnotami.

Wracając do przerwane go opowiadania, dodać muszę, że obok kościoła mieszkał w ładnej murowanej plebani pastor kalwiński Schultz, człowiek bardzo poczciwy i sympatyczny, choć wielce oryginalny staruszek. W niedzielę zjeżdżali się zwykle na nabożeństwo i kazanie pp. Potworowscy Adamostwo z Krągoli z panią referendarzową Bronikowską, Adolfostwo Potworowscy, z Kuchar, stary pan Ksawery Potworowski z Dąbroszyna wraz córką Wiktoryą i poczciwym synem Kazimierzem (starszy bowiem Piotr był inżynierem gubernialnym w Płocku), dalej za nimi pp. Kurnatowscy z Brudzewa, a czasem i z rodziny Mieszkowskich, Trepków lub Unrugów, ktoś w niedzielę zawitał, wiedzieli bowiem wszyscy, że u marszałkostwa dom zawsze otwarty na oścież, i że po nabożeństwie obiad na jak najliczniejsze grono zawsze się szykuje. Marszałek, jako prezes zboru, bywał zawsze z żoną na nabożeństwie obecny, ale nie zadowolając się rodziną, dopraszał sobie kilkanaście osób obcych z sąsiedztwa, wybierając damy piękniejsze i młodzież inteligentniejszą, która by panienkom czas uprzyjemniała.

Wysłał tedy zaprosiny przez chłopaka źrebiarka na chudej półangielskiej drandrydze, mniej więcej (do mnie przynajmniej) w tych słowach:

„Kochany Julku. Wiesz jak Cię kocham, posyłam umyślnego na indyku (indykiem zwal się ów półanglik) po Ciebie z zaproszeniem na jutrzejszy obiad - będą panienki! Jeżeli i ty mnie kochasz, a panienki lubisz, przyjeżdżaj, żadnych excuz nie przyjmuję. *Tout-a-vous R. B.*

Podążałem naturalnie, o ile już poprzednio na ten dzień w luźnych moich sąsiedztwach nie przyjąłem zobowiązania, zastawałem tam z młodzieży najczęściej obydwóch Kowalskich, Henryka i Władysława, Adasia Bronikowskiego (bratanka marszałka i ewentualnego jego sukcesora), Wyganowskich Zygmunta i Tadeusza (dzisiejszego Prezesa Dyr. szczeg. Kaliskiej i Radcę Komitetu T. K. Z.), Władysława hr. Kwileckiego z uroczą małżonką i wielu innych.



Przy obiedzie robiono zwykle tak zwane „*bunte Reihe*” t.j. umieszczano mężczyzn między damami, młodzież między pannami. Zdarzyło mi się raz siedzieć obok pastora Schultza z jednej strony, a panienki z drugiej; zajęty rozmową z moją sąsiadką, anim się spostrzegł, jak mi pastor staruszek chleb zjadał, dobiegałem po kilka razy a zawsze on, niby przez pomyłkę, przypisywał się do mego chleba, dowiedziałem się potem, że go z tej strony wszyscy znali. Zaczynał ten i jowialny staruszek był bardzo łakomy. Razu jednego miał długie kazanie o tym jednym z grzechów głównych i dowodził, że grzechem jest myśleć o żołądku, że człowiek powinien żyć więcej duchem, nie tyle myśleć o jutrze, pozostawiając to Panu Bogu. Po nabożeństwie znalazł się pastor jak zwykle na obiedzie w pałacu, pałaszował co się zmieści, a kiedy na deser podano cukierki, on sobie, kieszenie nimi ponapychał.

- To to tak, pastorze... odezwał się doń żartem marszałek. Dziś uczyłeś nas, żeby nie myśleć o (jutrze, a teraz sobie cukrami kieszenie napychasz.

- A właśnie dlatego dziś napycham - odrzekł pastor, żeby o jutrze nie myśleć.

Śmiech serdeczny zawtórował tej replice. Po skończonym obiedzie starsi panowie zasiadali do gieryłsza lub wista z licytacją, młodszy zabawiali się z damami w cerceau, w gry niewinne,

i czas tak schodził wesoło, jak w raju.

Błogi ten spokój i wesołe życie we dworze zychlińskim, który, jak istny patriarcha, gromadził w swych murach setki osób, krewnych i przyjaciół, przerwał nagle, na czas jakiś, cios straszny, zabierając marszałkowi ubóstwianą przezeń żonę, a całej okolicy czcigodną, jaśniejącą przykładem matronę. Na pogrzeb zjechało całe sąsiedztwo z bliższych i dalszych nawet okolic Kaliskiego, nieboszczka bowiem daleko i szeroko z zacnych cnót swoich słynęła. Zjazd był tak liczny, że dla pomieszczenia jako tako przyjezdnych musiano wszystkie oficyny i domy folwarczne, a dla koni wszystkie budynki opróżnić.

Marszałek był ciężko przybity; kiedym wszedł do jego gabinetu, w którym ulubiony jego sługa, Marcin, kończył pomagać mu w toalecie, staruszek ryknął płaczem tak żalnym, że się serce krajało. Przyskoczyłem doń, wzruszony tak samo, mimo woli ukląknę przed nim, a on, okrywając mnie pocałunkami, szeptał:

- Ty wiesz, najlepiej com stracił... nie opuszczajcie mnie teraz w moim sieroctwie.

- Nie... nie... - odrzekłem - będziemy jak dawniej odwiedzali drogiego marszałka. Tylko niech się uspokoi... bo co tu rozpacz pomoże.

- Masz rację-odrzekł uspokojony od razu, dziwna to bowiem była natura, w której smutek długim nigdy być nie mógł, gdyż go czem prędzej od siebie odpędzał, czując, że to na zdrowie źle wpływa.

Pogrzeb odbył się wspaniale, ale niezmiernie nużąco, pastor Schultz bowiem, zwyczajem wszystkich pastorów, mówił niemiłosiernie długo, patetycznie, choć nieszczególnie, a miał przedmiot do pięknej mowy tak podatny. Ile razy mówił o nieboszczce, zawsze dodawał:

- Jaśnie Wielmożna Marszałkowa ze Złotnickich Bronikowska... którą znaleźmy wszyscy z jej cnót, z jej dobroci, z jej wysokości przymiotów ciała i duszy... czyniących ją tak wybitną postacią... i t. p.

Kiedyśmy po skończonej uroczystości pogrzebowej wracali do pałacu, zaszedł marszałkowi drogę wzruszony do głębi poczciwy p. Tobiasz Karczewski ze Sławęcina.

- Tak, kochany marszałku-mówił staruszek, łkając przez łzy - straciliśmy perłę naszej rodziny.

- Ee... nie płacz... stara babo! - ofuknął go marszałek, który bał się dla siebie ponownego ataku płaczu - Marcin!.. obiad! - krzyknął do idącego za nim służącego.

Ja ledwie śmiech wstrzymałem, nic bowiem zabawniejszego być nie mogło nad tę zamianę ról między rozpaczającym dalekim krewnym a pocieszającym go w ten sposób, owdowiałym małżonkiem.

Po zgonie marszałkowej dwór zychliński na jakiś czas zamknął gościnne podwoje. Marszałek w gruncie rzeczy bolał niezmiernie nad, poniesioną stratą i nie chciał profanować świeżego wspomnienia nieboszczki wesołością zebrania sąsiedzkich. Zwolna jednak po upływie grubej żałoby umysł ten ruchliwy i temperament z natury wesoły i towarzyski, nie mógł znieść osamotnienia, naprzód więc urządzał niedzielne męskie zebrania, zwolna dopraszał sobie po kilka dam, a nareszcie zapraszał gości coraz więcej, i Żychlin, owo ognisko, gromadzące całe grono krewnych i przyjaciół, zawrzało dawnym życiem.